W NUMERZE:

* **ARGENTYNA:** Czy demokracja leczy, żywi i kształci?
* **HAITI:** Musieliśmy wywalczyć wolność, aby móc walczyć o chleb.
* **SALWADOR:** Podsumowanie jedenastu lat wojny domowej.
* **TURCJA:** Sukces walki może zależeć od tego, czy powstanie w jej toku rewolucyjna organizacja
* **NIEMCY:** Odmiany słowa kapitalizm.
* **ZSRR:** Rewolucyjna Grupa Proletariacka.
* **ZATOKA PERSKA:** Czy wszystko powróciło do normy?
* **USA:** Bush zabrania strajkowć.
* **JAPONIA:** Druga strona cudownego medalu.
* **AMERYKA ŁACIŃSKA:** Epidemia cholery.

L.I.T. (CI)

POCZTA ZE ŚWIATA

Nr 8 czerwiec `91

CZY DEMOKRACJA LECZY, ŻYWI I KSZTAŁCI?

Wnioski na ten temat wyciągają, po wieloletnim doświadczeniu, pracownicy służby zdrowia w Argentynie. To, co piszesz o służbie zdrowia w Polsce budzi we mnie głębokie współczucie. Wiem, co to znaczy. Kiedyś mówiono, że kiedy Pan Bóg chce kogoś ukarać, wpierw go pozbawia rozumu. Dziś możemy sobie śmiało powiedzieć, że kiedy rząd obraca się przeciwko społeczeństwu, niszczy jego oświatę i służbę zdrowia. Wieloletnie doświadczenie krajów podlegających mocodawcom pana Sachsa wskazuje na to, że zasada ta prawie nie ma wyjątków. Nic dziwnego, biją oni w to, co najsłabsze, w dzieci i w chorych. Poza tym, pracownicy obu środowisk należą do tych, którym strajkować najtrudniej, ze względów ustawowych i nie tylko...

W kwietniu przeprowadziłam wywiad z jednym z lekarzy szpitala w Solano (miejscowość pod Buenos Aires). Oto fragmenty tego wywiadu: "Czy może Pani sobie wyobrazić współczesny szpital bez kanalizacji? Otóż nasz jej nie posiada. Wszystko odchodzi do dołu kloacznego. Te są opróżniane - za opłatą - przez prywatną firmę. Jeśli nie przyjadą w terminie, dosłownie zalewa nas gówno. Niedawno zalało całą salę(...) W naszym rejonie dość często wyłączają prąd, bo stary sprzęt zawodzi. Sale dancingowe mają własną elektrownię. Szpital tego nie ma. W ubiegłym tygodniu, kiedy odcięli prąd, biegaliśmy jak nieprzytomni przez 15 minut, usiłując ratować niemowlęta w inkubatorach. Od dawna nie dostarczają nam chlorku ani innych środków

dezynfekcyjnych. Na dyżurach mamy 2-3 specjalistów chorób dziecięcych. Muszą oni obsłużyć około 200 dzieci dziennie, nie licząc tych, które już są internowane w szpitalu. Ludzie narzekają, że muszą czekać godzinami. Mają rację, ale cóż możemy na to poradzić, skoro naszą pierwszą troską są dzieci, których życie jest bezpośrednio zagrożone? Sprzęt nie jest właściwie sterylizowany. Nie ma na to środków.

Nasz dentysta nigdy nie może być zupełnie pewny, czy usuwając pacjentowi ząb, nie zakazi go żółtaczką lub AIDS.(...) Wielu z nas pracuje tu od lat.

To jest pierwszy szpital, do którego przyszedłem zaraz po studiach. Z bólem widzimy, jak z roku na rok jest coraz gorzej. Od września już nawet nie mamy odpowiedzi na listy, jakie wysyłamy do władz.(...)"

Tego wywiadu udzielono mi w przeddzień strajku...

Zaczął się on od tego, że załoga przygotowała na 13 kwietnia "pochód milczenia". Chciała, aby wszyscy uświadomili sobie, co się w szpitalu dzieje. Do pochodu nie doszło: jakieś sto osób, wszyscy opłaceni przez zarząd miasta, zebrało się pod szpitalem wykrzykując obelgi pod adresem lekarzy i innych pracowników. W ten sposób władze miasta usiłowały wykorzystać do własnych celów niewiedzę społeczeństwa, które za złą obsługę obwinia nie właściwego winowajcę, ale tego, kogo bezpośrednio widzi - lekarzy, pielęgniarki, sprzątaczki. Tym razem jednak przeliczono się. Tyle razy stosowano tę metodę skłócania społeczeństwa, aby uzyskać bezkarność, że ludzie w końcu poznali się na tym. Załoga zareagowała natychmiast. Powstał komitet strajkowy i następnego dnia zaczęto rozdawać ulotki w pobliskich osiedlach, tłumaczące na czym polega konflikt i proponujące, by demokratycznie wybrani przedstawiciele społeczeństwa współpracowali z załogą przy egzekwowaniu od władz odpowiednich środków i przy zagospodarowywaniu tych środków, kiedy już zostaną przyznane. Ludzie zrozumieli, że rząd ma zamiar doprowadzić szpitale do upadłości w ramach tzw. decentralizacji, aby je później sprywatyzować i ograniczyć leczenie do tych pacjentów, którzy mogą za nie zapłacić. W ten sposób chcą zniszczyć zasadę, że każdy ma prawo do ratowania swego zdrowia, a lecznictwo chcą przekształcić w jeszcze jedno źródło dochodów dla niewielu.

Ponieważ to, co wydarzyło się w Solano nie jest przypadkiem odosobnionym i wiele załóg szpitali przeżyło już podobne sytuacje, powstała organizacja znana jako INTERHOSPITALARIA, czyli międzyszpitalniana. Ma ona na celu połączenie walki pracowników służby zdrowia tam, gdzie ATSA (związek zawodowy służby zdrowia) nie wywiązuje się ze swych obowiązków. Ponieważ biurokracja związkowa jest spod tego samego znaku politycznego, co obecny rząd, INTERHOSPITALARIA ma pełne ręce roboty. Jej działacze twierdzą, że walczą nie tylko o sprawy płac dla pracowników, nie tylko o ich miejsca pracy, ale przede wszystkim w obronie prawa każdego obywatela do darmowego leczenia. Dlatego spotykają się z coraz to poważniejszym poparciem społeczeństwa. Poparcie to nie przychodzi łatwo gdyż ci, którzy majca dostęp do środków masowego przekazu robią wszystko co w ich mocy, by im to zadanie utrudnić. Jednak usiłowania możnych tylko zaogniają sytuację.

Działacze INTERHOSPITALARIA rozdają swe ulotki na przystankach autobusowych, pikietują budynki rządowe, zbierają podpisy, strajkują (gwarantując obsługę obłożnie chorych) i przyłączją się do akcji nauczycieli i kolejarzy objętych tym samym niszczycielskim programem rządowym napisanym pod dyktando MFW. Kiedy po wielu latach dyktatury wojskowej, prezydent Alfonsin rozpoczął swą zwycięską kampanię wyborczą, rzucił hasło: "Demokracja leczy, żywi. kształci". Dziś już zdajemy sobie sprawę z tego, że tak nie jest. Demokracja jest tylko narzędziem, które utrudnia władzom możliwość więzienia lub rozstrzeliwania ludzi pokroju działaczy z INTERHOSPITALARIA. Zdobycie tego narzędzia drogo nas kosztowało. Teraz uczymy się, jak się nim posługiwać. Z informacji, jakie tu przekazałaś wnioskuję, że Polacy dochodzą do podobnego wniosku. Pozostajemy z całym uznaniem dla was, a jednocześnie czuję się upoważniona do przekazania takiego oświadczenia: nasze zmaganie z MFW i jego wykonawcmi trwa nieco dłużej niż u was. Jeśli doświadczenie tych lat może być wam pomocne, możecie na nas liczyć.

Soledad Bochan

Rebelia emerytów

Jak podaje "La Gaceta", pismo prowincji Tucuman w Argentynie: "Istna batalia została stoczona na parkingu przed gmachem rządu prowincji, gdy emeryci i renciści, przy czynnej pomocy popierających ich ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się tam, spalili jeepa, po tym, jak policja usiłowała spacyfikować ich manifestację."

Tego jeszcze nie było! Do takiego wybuchu rozpaczy zostali doprowadzeni dziadkowie po 3 miesiącach niewypłacania im należnych (a nędznych) emerytur i rent.

"Oboje moi rodzice są emerytami. Ja zarabiam tak mało, że pomóc im nie mogę. Ojciec cierpi na depresję. Jest sparaliżowany. Wolałam przyjść tu z matką, niż żeby miała siedzieć w domu i płakać." - powiedziała dziennikarzom jedna z młodszych uczestniczek demonstracji. Represje nie zastraszyły seniorów. "Lepiej dostać pałą w łeb i koniec, niż tak powoli konać w nędzy." Mimo, iż trzech emerytów zostało rannych, wszyscy postanowili powrócić następnego dnia.

Nazajutrz władze zaproponowały dialog z przedstawicielami manifestujących. Dialog polegał na przemówieniu wzywającym do cierpliwości, bo "nie ma pieniędzy". Pana gubernatora na miejscu nie było. Nie wszystkie starsze osoby miały siłę iść pod jego dom. Większość jednak udała się tam. W miarę, jak szli, dołączali do nich ludzie, a z okien i balkonów pozdrawiano ich oklaskami. Pana gubernatora nie było też w domu. Protestujący obrzucili dom kamieniami. Wtedy ktoś powiedział, że wicegubernator znajduje się akurat w barze wykwintnego hotelu, paręset metrów dalej. Skoro już tyle się namęczyli, to może jeszcze troszkę. Wyciągnęli dostojnika zza stolika i nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie to, że ratował się skuteczną, choć niezbyt dostojną ucieczką. Dodać należy, że emeryci argentyńscy pobierają wypłaty jeszcze niższe od swych rówieśników w Polsce, a w dodatku nie dostają ich pocztą, tylko co miesiąc muszą stać godzinami w ogonkach przed bankami w wyznaczonych im godzinach, bez względu na pogodę. Niełatwo jest upoważnić do poboru innego członka rodziny, gdyż

młodsi w tych godzinach pracują albo szukają pracy. Lekarstw darmowych nigdy nie mieli. W najlepszym wypadku są im przyznawane ulgi do 50%. Jeszcze gorzej niż tu. Ale tam już od dawna rządzi MFW pod opiekuńczym skrzydłem tamtejszych Mazowieckich i Wałęsów, i pod parasolem przytakujących związków zawodowych.

HAITI: "MUSIMY MIEĆ WOLNOŚĆ BY WALCZYĆ O CHLEB"

Haiti jest najbiedniejszym krajem na zachodniej półkuli. Znajduje się wraz z Republiką Dominikany na wyspie La Espanola, na Morzu Karaibskim. Do niedawna kraj ten był znany przeważnie z opowieści, w których wątek romantyczny przeplatał się z opowiadaniami o przedziwnych zabobonach, o zombi i czarnej magii, albowiem sprawdza się zasada, że nędza i poczucie beznadziejności idą ręka w rękę z zacofaniem i przesądami. Przez ponad 30 lat (aż do roku 1986), na Haiti panowała dynastia Duvalierów.

Najpierw Francois Duvalier (znany jako Papa Doc), a później Jean-Claude, jego syn (znany jako Baby Doc), sprawowali okrutną władzę za pomocą terroru, którego narzędziem była prywatna armia Duvalierów, tzw. Ton Ton Macoute. Wygłodniali, przemęczeni i sterroryzowani ludzie przypisywali Ton Ton Macoute'om własności nadprzyrodzone, tłumacząc w ten sposób, że "wszystko widzą, wszystko słyszą, wszystkich karzą." W bardziej cywilizowanych krajach taką wszechobecność tłumaczy się w bardziej prozaiczny sposób: jest to dobrze zorganizowana sieć donosicieli. Taką sieć łatwo zorganizować gdzie nędza, gdzie za bochenek chleba można wydać przyjaciela.

Toteż, aby móc walczyć o najbardziej elementarne warunki życia, ludzie musieli najpierw obalić dyktaturę. Uczynili to w 1986 r., po krwawej rewolcie, w trakcie której powstańcy wbijali na kije głowy zabitych Ton Ton Macoute, aby udowodnić zastraszonej ludności, że są oni śmiertelni i że nie należy bać się ich bardziej niż jakiegokolwiek złego człowieka. Po terrorze i dyktaturze nastąpił okres ciągłych zmian i braku stabilności. Od owego pamiętnego zrywu, aż po dzień dzisiejszy, na Haiti 5 razy zmianił się rząd, było kilka nieudanych zamachów ze strony duvalierystów. Trzy lata temu, oddolna mobilizacja społeczeństwa wymusiła na władzach zorganizowanie pierwszych wolnych wyborów. W społeczeństwie przyzwyczajonym do tego, że jest rządzone za pomocą strachu, już sam fakt wysunięcia tego postulatu miał bardzo postępowy charakter. W nadziei, że uwzględnienie tego postulatu ułatwi im skierowanie społecznego niezadowolenia na tory parlamentaryzmu, władze zgodziły się na wybory. Ale w dniu głosowania Ton Ton Macoute zaatakowała bezbronnych ludzi. Z ręki morderców, tego dnia, śmierć poniosło kilkadziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych.

Jednak społeczeństwo nie zrezygnowało z walki. Kolejne wybory odbyły się 16 grudnia. 70% głosów zdobył ksiądz Jean Bertrand Aristide, salezjanin wydalony ze swego klasztoru, którego ludzie pamiętali jako tego, który jeszcze przed 1986 r. dzielnie przemawiał przeciwko dyktaturze. Aristide miał objąć prezydenturę w kilka tygodni po ogłoszeniu rezultatów. Ale 7 stycznia, były minister MSW z czasów Duvaliera, Roger Lafontant, jeden z przywódców Ton Ton Macoute, przypuścił szturm na pałac prezydencki, porwał tym czasową panią prezydent Erthe Pascal Trouiliot i sam siebie

ogłosił prezydentem. Lafontant kilkakrotnie już zapowiedział, że nie pozwoli, by ten "demagog i populista Aristide, obiecujący zmiany w gospodarce i reformy socjalne", doszedł do władzy. Od moment kiedy wiadomość dotarła do ludności do momentu, kiedy wybuchł bunt przeciwko uzurpatorowi, minęło zaledwie kilka godzin. Tysiące młodych ludzi, uzbrojonych w kije i metalowe pręty , wyległo na ulice Port au Prince (stolica), podpalili dom Lafontant'a i innych znanych Ton Ton Macoute'ów, innych zaś rozbroili. Podpalili również dom biskupa Francois Wolfa Ligonde i gmach Episkopatu, jako odpowiedź na noworoczną homilię, w której Kościół zaatakował Aristide'a, a którą ludność odebrała jako przyzwolenie na niedopuszczenie go do władzy. W kilka godzin po wybuchu buntu, część wojska przeszła na stronę ludności, uwolniono tymczasową panią prezydent, a Lafontant poddał się.

Gazeta "La Nacion" z dn. 8 stycznia twierdzi, że "z rąk rozwścieczonych ludzi, śmierć poniosło co najmniej 50 osób. Niektóre zostały ukamieniowane. Inne spalone żywcem. Wszystkie należały do Ton Ton Macoute lub jawnie sprzyjały Lafontantowi." Haiti daleko jeszcze do stabilizacji. Jeszcze dalej do pełnej sprawiedliwości społecznej. Trudno sobie wyobrazić jak były ksiądz powtórzy cudowne rozmnożenie chleba, aby zaspokoić ogromne zapotrzebowanie wygłodniałych wyborców. W chwili, kiedy oddajemy artykuł do druku, nic nie wskazuje na to, by nosił się z zamiarem uspołecznienia jedynego bogactwa kraju, którym jest majątek Duvalierów lub, by czynił jakieś kroki w celu połączenia walki narodu haitańskiego z walką narodu dominikańskiego. Nie wiemy też, jakie są jego powiązania międzynarodowe. Jedno wynika jasno z powyżej opisanych wydarzeń: ludność Haiti zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że nie może dać sobie dmuchać w kaszę i, że porzucając atawistyczne lęki, dzięki którym tak długo była gnębiona, należy zacząć samej o sobie decydować. Zapytany przez dziennikarzy, czy uważa, że najgorsze już minęło, młody Haitańczyk powiedział: "Nic nie minęło. Wszystko dopiero się zaczyna. Do niedawna byliśmy jak zombi - chodziliśmy, ale nie żyliśmy. Wolności potrzebowaliśmy, by móc walczyć o chleb."

SALWADOR

80 000 ofiar śmiertelnych, 200 000 rannych, milion emigrantów, miliardy dolarów strat: oto koszty wieloletniej wojny domowej w Salwadorze.

Wiele lat bohaterskich walk. Wiele krwawych klęsk. Proces ten osiągnął swój punkt kulminacyjny w 1979 r., kiedy pod wpływem zwycięstwa sandinistów w Nikaragui powstaje potężna, masowa mobilizacja, na skutek której obalona zostaje dyktatura Romero. Wtedy to organizacja Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Farabundo Marti miała władzę w zasięgu ręki. Zamiast sięgnąć po nią, poparła rząd, który powstał w ramach demokracji parlamentarnej po upadku Romero i pod hasłem "zwyciężyliśmy!", zaczęła demobilizować cały ruch bojowy.

Kiedy na skutek takiej polityki prawica zaczęła podnosić głowę, jej pierwszym aktem było zorganizowanie profaszystowskich band paramilitarnych. Bandy te zaczęły grasować po całym kraju, siejąc śmierć i przerażenie. Lewica wycofuje się na wieś i

stamtąd rozpoczyna wojnę podjazdową, która trwa już 11 lat. Kierownictwo tej partyzantki mówi o sobie, że są komunistami. Podlegają wpływom sandinistów i Castro. Metodę wojny podjazdowej stosują jako presję w celu osiągnięcia bardziej korzystnych negocjacji z imperializmem i rządem podlegającym imperializmowi.

Od roku partyzantka zmienia swój program polityczny. Domaga się dopuszczenia do rządzącej koalicji pod egidą burżuazji. Rząd amerykański obiecywał sandinistom i Castro, że w zamian za zahamowanie salwadorskiej rewolucji zaniecha popierania "contras" w Nikaragui i zaprzestanie agresji w stosunku do Kuby. Jak zwykle, słowa nie dotrzymał. Kiedy rządy sandinistów zakończyły się oczywistym fiaskiem, pod wpływem wydarzeń w Europie Wschodniej, Gorbaczow i Castro zgodzili się, że partyzantka środkowo-amerykańska powinna oddać broń i przystąpić do negocjacji. Kierownictwo partyzantki Salwadoru, zgodnie z tym rozkazem, od czasu do czasu tylko przypuszcza sporadyczne ataki, aby jakoś poszerzyć pole do negocjacji, które coraz to bardziej się zacieśnia. Salwador boryka się z dwoma niebezpieczeństwami: z jednej strony, profaszystowska prawica, która otrzymuje prawie bezwarunkowe poparcie z USA, a z drugiej, partyzantka, która liczyła do niedawna dziesiątki tysięcy bojowników, zaufała kierownictwu, które nie pragnęło zwycięstwa.

TURCJA: "SUKCES WALKI MOŻE ZALEŻEĆ OD TEGO, CZY POWSTANIE W JEJ TOKU REWOLUCYJNA ORGANIZACJA"

(Wywiad z Ali Bahcetepe i Cemal Yardime z tureckiego Związku Zawodowego Lotnictwa Cywilnego)

— Powiedzcie nam o sytuacji ruchu robotniczego w Turcji...

— Pucz nastąpił 12 września 1980 r. Tak powstał profaszystowski, wojskowy rząd. Walki robotnicze, które do tego momentu rozszerzały się i nabierały siły, zostały gwałtownie stłumione. Nastąpił okres straszliwej opresji. Do połowy lat 80. zapanowało milczenie. Nikt nie mógł nic powiedzieć. Nikt nie mógł nic zrobić. Ale powoli dało się odzyskać niektóre pozycje. Nie istnieje u nas żadna legalna partia ludzi pracy, która mogłaby organizować i wyrażać wolę pracowników najemnych i dolnych sfer społeczeństwa. Związki zawodowe zasadniczo zajmują się działalnością antytotalitarną. Jednak kierownictwo związków robi i mówi to, co rząd nakaże. Największy problem polega na tym, że działacze związkowi nie mogą zgrać swej działalności. A więc, można powiedzieć, że, o ile chodzi o organizacje ruchu robotniczego, milczenie stale jest normą. Bieda w kraju rośnie, a to zmusza ludzi pracy do mobilizacji i walki. Mamy nadzieję, że w toku tej walki powstaną zalążki nowego kierownictwa.

Centralna polityka związków jest wynikiem ponad 10 lat opresji. Musimy stworzyć nowe kanały organizacyjne dla społeczeństwa. W tym celu nie dość wysuwać hasła czysto ekonomiczne. Musimy stworzyć nowe, rewolucyjne związki zawodowe.

Brak demokracji jest problemem boleśnie odczuwanym, a więc te nowe związki muszą wyrastać z walk o demokrację. Sukces tej walki może zależeć od tego, czy powstanie w jej toku rewolucyjna organizacja, przesiąknięta duchem rewolucyjnym, zgodnie z którym rozwijałaby odpowiednią działalność.

— Co wiesz o strajku górniczym, który wybuchł przeciwko rządowi Ozali?

— Był to niesłychanie ważny strajk w ramach sytuacji, którą już opisaliśmy. Górnicy nie mogli liczyć na poparcie związkowej konfederacji.

Przez 4 dni maszerowali. W tym marszu brało udział ponad 150 000 osób. Nie tylko górników. Szły z nimi ich rodziny i mieszkańcy ich osiedli.. Przeszli ponad 100 km w kierunku Ankary (stolicy). Po drodze zatrzymała ich policja. Zaledwie 5 000 policjantów i 25 000 żołnierzy. Tę przeszkodę można by było przełamać, gdyby po drugiej stronie ruszyło kolejne 150 000 osób. I to nam się nie udało.

Rząd przeżył poważny wstrząs. Burżuazyjna opozycja na początku poparła górników, ale w najtrudniejszym momencie zostawiła ich na lodzie. Niestety, górnicy byli zmuszeni powrócić do domów.

Sama walka rozpoczęła się o postulaty ekonomiczne, ale od początku rząd zagroził, że zamknie kopalnie. Marsz trwał między 4 a 8 grudnia. Jednak koniec marszu to nie koniec strajku. Wojna w Zatoce była też wojną przeciwko tureckim robotnikom: strajk górników i inne strajki zostały odroczone o 60 dni! Kierownictwo górniczego związku zawodowego mówi o sobie, że jest niezależnym związkiem. Jego przewodniczący jest socjaldemokratą. Lecz bez najmniejszego oporu położył po sobie uszy, kiedy rząd nakazał mu strajk zawiesić! Ostatnio podpisano nienajgorszą umowę zbiorową, ale można by osiągnąć o wiele więcej. Wprawdzie osiągnięto dwa razy więcej niż rząd początkowo oferował, ale inflacja pożarła wszystko w krótkim czasie. Mimo to, górnicy nie czują się pokonani. Już przed strajkiem zaczęli tworzyć własne kierownictwo. Działają na zasadzie oddolnie wybieranych delegatów. Robią kroki celem organizowania ludności w swym rejonie...

— Jak zareagowali ludzie pracy w Turcji na wojnę w Zatoce?

— Nasz kraj znajduje się bardzo blisko Zatoki, a więc jakieś 80 czy 90% ludności było przeciwne wojnie. Był to jeden z powodów, dla których Ozal nie mógł brać w niej bezpośredniego udziału. Poza tym, w Turcji istnieją bardzo silne nastroje antyimperialistyczne, chociaż represje były tak silne, że nie dało się tego wyrazić w otwartych manifestacjach ulicznych. Oczywiście, istnieje monopol informacyjny. Mimo to, odbyły się dwa małe wiece przed konsulatem USA w Stambule. Nasz związek zawodowy brał w nich udział. Piątek to dzień święty dla muzułmanów. Starano się manifestować po zakończeniu nabożeństw. Najlepiej wypadło to w Stambule, gdzie manifestowało około 5 000 osób. Doszło do tego, że rząd zamknął niektóre meczety. Muzułmanom łatwiej jest się organizować niż bezwyznaniowym rewolucjonistom. Nasze pikiety przed konsulatem były represjonowane i 20 kolegów zapłaciło za nie kilkoma tygodniami więzienia.

— Czy chcielibyście coś dodać od siebie?

— Pragniemy podziękować towarzyszom z MAS za stworzenie nam możliwości tej wymiany rewolucyjnych doświadczeń. Pragniemy też wyrazić słowa solidarności z pracownikami najemnymi innych krajów, walczących o tę samą sprawę.

NIEMCY UCZĄ SIĘ ODMIENIAĆ SŁOWO 'KAPITALIZM'

"Rozgoryczenie i wściekłość byłych NRD-owców skupia się na jednym człowieku. Jest nim kanclerz Helmut Kohl. Kiedy w grudniu, podczas kampanii wyborczej, odwiedził Niemcy Wschodnie, wiwatowano mu, jako żywemu symbolowi jedności. Skandowano: "Helmut, Helmut!" Dziś jest symbolem rozczarowania, a wyrazy uwielbienia zostały zastąpione obraźliwymi epitetami, jak: "Świnia, kłamczuch". ("Newsweek, 1.04.91)

Półtora roku temu nikomu nie zależało na połączeniu Niemiec. Rządząca wówczas nomenklatura twierdziła, że Mur będzie stał jeszcze sto lat. Niemiecka burżuazja dyskretnie unikała tego tematu. Nie mogła otwarcie popierać istnienia muru, gdyż spora część ich propagandy na Zachodzie polegała na wmawianiu, że "komunizm nie może być dobry, skoro za takim murem się ukrywa!" (jakby oni sami nie mieli nic wspólnego z genezą tego podziału!). Ale nie kwapili się ze zmianą sytuacji, którą formalnie krytykowali, gdyż zdawali sobie sprawę z tego, że wraz z murem mógł się rozpaść cały porządek światowy ustalony w Jałcie. Społeczeństwo niemieckie jednak inaczej na ten temat myślało, więc zapoczątkowało proces, który doprowadził ostatecznie do połączenia Niemiec. Fakt, że na czele tej oddolnej mobilizacji nie stała żadna niezależna organizacja rewolucyjna stał się przyczyną klęski: RFN wchłonęła NRD. Zaistniało jedno państwo niemieckie... kapitalistyczne. Za to swoje zwycięstwo RFN drogo zapłaciła. Musiała iść na dalekie ustępstwa. Pierwszym ustępstwem było to, że wymiany dokonano na zasadzie 1:1. W ten sposób społeczeństwo NRD uratowało swe oszczędności.

Później, powoli, nastąpiło mnóstwo obietnic i kłamstw. Przede wszystkim bajka, że dzięki cudownym własnościom wolnego rynku, NRD-owcy wkrótce osiągną stopę życiową swych rodaków z RFN. Na tej zasadzie Kohl wygrał wybory w zjednoczonych już Niemczech. Można w ten sposób wygrać wybory, ale nie można zmienić rzeczywistości.

Po pięknych przemówieniach nastąpiło załamanie gospodarki. W byłym NRD ceny rosły z szybkością 200% miesięcznie, bezrobocie określa się jako gorsze niż w latach 30., szpitale pracują przy minimalnej ilości personelu, przedszkola są zamykane, Uniwersytet w Lipsku likwiduje wydziały, zamykane są muzea, pociągi nie przychodzą na czas (często w ogóle nie odjeżdżają), a nowe podatki sypią sie jak z worka.

Aby oddalić widmo wybuchu społecznego niezadowolenia, Kohl musiał iść na kolejne ustępstwa. Prawie 2 miliony Niemców ze Wschodu pobiera wypłaty pracując w skróconych godzinach, a bezrobotni otrzymują zasiłek w wysokości 80% ostatniej wypłaty. Jednakże rząd zobowiązuje się do utrzymania takiej sytuacji jedynie przez najbliższy rok. To znaczy, że jeżeli program Kohla będzie nadal realizowany, połowa pracowników byłego NRD zostanie bez pracy na koniec roku.

Nic więc dziwnego, że te same place, które w ostatnim okresie rządów Honeckera były miejscem antyreżymowych wieców, dziś znów wypełnią się gniewnym tłumem. Tym razem transparenty świadczą o tym, że "Kohl musi odejść!"

"Pół roku temu, mimo kolosalnego kryzysu gospodarczego, każdy obywatel NRD miał zapewnione mieszkanie pracę i wakacje" ("Clarin", 1.04.91). Zwracamy uwagę na

fakt, że często przez nas cytowana gazeta "El Clarin" nie może być podejrzana o lewicowość nawet przez najbardziej fundamentalistycznych przekonań endeka. Widocznie niemieckie wydanie Homo Sovieticus nie mo-że znieść tego, że po kilku miesiącach kapitalizmu wszystkie te zdobycze zostały zakwestionowane. Ale zakwestionowane, to nie to samo, co zlikwidowane. Program niemieckiej burżuazji imperialistycznej napotyka na rosnący opór. A raz jeszcze staje się oczywistą prawdą, że wszystkich można przez jakiś czas oszukiwać, niektórych można oszukiwać zawsze, ale nie można zawsze oszukiwać wszystkich. Inaczej nie da się wytłumaczyć tego, że wczorajszy bohater dziś okazuje się świnią i kłamczuchem, jutro zaś może być na liście "byłych funkcjonariuszy".

Stale niepokojącym jest fakt, że niemiecki świat pracy walczy osamotniony.

Nie ma żadnych oznak, które pozwoliłyby nam cieszyć się nadzieją, że wkrótce powstanie tam autentyczne kierownictwo, będące w stanie zapobiec niebezpieczeństwu ponownego okradzenia świata pracy z jego zdobyczy socjanych.

Przeszło 50 lat temu Lew Trocki pisał: "Tragedia rodzaju ludzkiego sprowadza się do kryzysu rewolucyjnego kierownictwa ruchu robotniczego." Chyba nigdy te słowa nie były tak aktualne, jak dziś.

ZSRR -REWOLUCYJNA GRUPA PROLETARIACKA

Grupa ta działa w Leningradzie i wydaje pismo "Walka Robotnicza". Działacze pochodzą z nurtu anarchistycznego. Nawiązali stosunki z różnymi organizacjami trockistowskimi na świecie, między innymi z LIT(CI), zebrali informacje, przestudiowali polityczną sytuację w ZSRR. Tak powstał ich dokument "O Rewolucji Politycznej", który przesyłają nam jako udział w dyskusji na temat tego, co dzieje się we Wschodniej Europie. W swym czasopiśmie opublikowali swoje założenia programowe, które przedrukowujemy:

" **1.** RGP jest internacjonalistyczną organizacją rewolucyjną i komunistyczną, której działania opierają się na zasadach Programu Przejściowego Czwartej Międzynarodówki.

2. RGP, to pierwszy krok w kierunku tworzenia rewolucyjnej partii robotniczej.

3. Opowiadamy się za likwidacją - na zasadach klasowych - systemu pracy najemnej, kapitału i ich zasadniczego filaru - państwa.

4. Naszym celem jest osiągnięcie społeczeństwa komunistycznego bez państwa, uspołecznienie środków produkcji i owoców pracy ludzkiej, podział wszystkich dóbr według potrzeb, likwidacja stosunku towarowo-pieniężnego, samorządność robotnicza poprzez klasowe instytucje.

5. Jesteśmy przekonani, że jedynie masowe działanie robotnicze może ostatecznie położyć kres systemowi opartemu na wyzysku.

6. Jesteśmy przekonani, że całkowite wyzwolenie klasy robotniczej nie jest możliwe w ramach struktur władzy państwowej.

7. Uważamy, że doświadczenie socjalizmu w Związku Radzieckim dowodzi tego, że rewolucja socjalistyczna, o ile nie osiąga rozwoju w skali światowej, zanika i ustępuje miejsca reżymom totalitarnym.

8. Jesteśmy zwolennikami likwidacji wojen, ale jesteśmy jednocześnie świadomi, że mechanizmy, które doprowadziły do obu wojen światowych są nadal aktualne i pchają świat ku koszmarowi wojny atomowej. Wobec wojny alternatywą nie jest negocjacja ze sprzedajnymi politykierami, lecz komunistyczna rewolucja.
9. Będziemy zwalczać nieustannie tych, którzy przeciwstawiają ludzi pracy jednego kraju ludziom pracy innych krajów.
10. Popieramy wszystkie autentyczne ruchy wyzwoleńcze.
11. Przyjmujemy federację jako formę organizacyjną przyszłego społeczeństwa, albowiem sprzeciwia się ona biurokratycznej centralizacji, paraliżującej wszelką inicjatywę, zastępując ją przymusową dyscypliną.
12. Naszym zasadniczym sposobem walki jest akcja bezpośrednia we wszelkich swych formach, jak: bojkot, sabotaż, okupacja zakładów, strajk powszechny.
13. Jesteśmy przekonani, że bezpośrednie działanie rewolucyjnej awangardy skieruje szerokie masy proletariackie ku zorganizowanej walce i nada impuls międzynarodowej rewolucji komunistycznej.

* Naszą ojczyzną ... ziemia cała
* Naszym narodem ... ludzkość cała
* Władza robotnicza zamiast dyktatury biurokracji i burżuazji."

Jest to kolejna organizacja przyznająca się do trockizmu w ZSRR. Uprzednio już wspominaliśmy o "Nowej Iskrze", grupie sympatyzującej z LIT(CI). Jeden z członków "Nowej Iskry" twierdzi: "Gorbaczow i Bush muszą być w wielkiej przyjaźni, bo jakoś często się spotykają. W naszym kraju już zaczynam odczuwać agresję imperializmu. Wystarczy popatrzeć na to, co się stało w Panamie i w Iraku. Poparcie rządu ZSRR dla imperialistycznej agresji samo przez się wiele mówi. Gorbaczow po prostu zaczyna sprzedawać nasz kraj. Po trochu, ale już zaczyna. Myśmy go prosili: 'Oddaj nam nasz kraj'. Nic nam nie dali, ale kapitalistom już dają."

Czy w Zatoce Perskiej wszystko powróciło do normy?

Cytujemy ze sprawozdania amerykańskiej organizacji praw człowieka Middle East Watch, opublikowanego w "New York Times" z dn. 2.04.91: "Co dzień dowiadujemy się o nowych aresztowaniach, porwaniach, torturach, których ofiarami są w Kuwejcie przede wszystkim Palestyńczycy, ale także i inni pracujący tam cudzoziemcy. Dziesiątki okaleczonych trupów pojawia się na opuszczonych działkach lub przy szosach. Mamy dowody na to, że amerykańscy oficerowie byli obecni w "bezpiecznych miejscach", jak szkoły czy komisariaty, gdzie zamęczano ludzi na śmierć."

Jeśli do tego dodamy ludobójstwo popełniane na Kurdach, których głównym grzechem było to, że zaufali Amerykanom i ich sojusznikom, obraz tego, czego możemy się spodziewać po naszych nowych sprzymierzeńcach jest dość dokładny.

Kurdowie stanowią kolejny naród, któremu imperialistyczno-kolonialny ustrój odmówił prawa do własnej ziemi. Są oni muzułmanami, choć nie Arabami. Są narodem

aryjskim, a ich język wywodzi się z sanskrytu. Terytorium, do którego własności pretendują jest bardzo obszerne (prawie 0,5 miliona km2). Jest ono podzielone na 5 części. Około 25 milionów Kurdów jest rozsypanych po świecie: prawie 15 mln znajduje się w Iranie, 3 mln w Iraku, 8 mln w Turcji, 1 mln w Syrii i 300 000 w ZSRR. Ich walka sięga początków ubiegłego stulecia, kiedy powstali przeciwko Imperium Otomańskiemu. Ponieśli wtedy krwawą klęskę. W ostatnich czasach nie mniej krwawo rozprawił się z nimi ajatollach Chomeini i Saddam Hussein, używając przeciwko nim trujących gazów. Dziś, z błogosławieństwem wczorajszych wrogów z sojuszu antyirackiego, Hussein wykańcza swe poprzednie dzieło. W interesie mocarstw świata leży starcie ich z powierzchni ziemi, gdyż jest to zbyt buńczuczny naród zamieszkujący zbyt bogatą w ropę ziemię. Kurdystan pokrywa najbogatszą część powierzchni Iraku i Iranu. W mniejszym stopniu strefa ta sięga Syrii, Turcji i ZSRR. Niestety, kierownictwo Kurdów nie jest bynajmniej gwarancją zwycięstwa. Sam fakt, że zaufali tym, którzy teraz ze źle ukrywaną satysfakcją przyglądają się ich męczeństwu, wskazuje na to, że zostali okrutnie oszukani. Ich los powinien być dla wielu narodów ostrzeżeniem.

A jak układają się stosunki między USA i Husseinem? Niespecjalnie. Żeby nie wiem ilu Kurdów wymordował, Hussein nie może już być wiarygodnym wspólnikiem. Popadł w niełaskę. Bush chce go zastąpić kimś oddanym Białemu Domowi. Nie może sobie pozwolić na to, by Husseina obalił ruch, nad którym można by w pewnym momencie nie zapanować.

Bush zabrania strajkować

17 kwietnia b.r. rozpoczął się strajk kolejarzy w USA. Strajkujący protestowali przeciwko planom przekształceń, w wyniku których zostało zagrożonych 30 000 etatów. Domagano się podwyżek płac i poprawy warunków pracy. Do konfliktu przystąpiło 11 organizacji związkowych liczących razem 250 000 pracowników.

O wadze tego wydarzenia świadczy fakt, że poza strajkującymi, kolejne 600 000 osób nie dostało się na czas do pracy. Taki wybryk bardzo zdenerwował Pana Prezydenta, który wysłał do Kongresu projekt ustawy o stanie wyjątkowym (Emergency), zabraniając strajku. Kongres natychmiast zaakceptował projekt, i w 16 godzin po rozpoczęciu, strajk został zakończony. Ale nie było to zupełne zwycięstwo administracji Busha. Mimo groźnej postawy, rząd musiał zobowiązać się do rozpoczęcia negocjacji z organizacjami związkowymi i powołać "komisję ekspertów", a to samo przez się oznacza odroczenie programu przekształceń i projektowanego przedłużenia dnia pracy.

Warto odnotować taki fakt: Człowiek, który dużo "cudów" opowiada o "zachodniej demokracji", człowiek, stojący na czele kraju, który zmasakrował robotników domagających się ośmiogodzinnego dnia pracy, rozpoczynając tradycję Pierwszomajową, dziś zabrania swym obywatelom strajkować.

CUD W JAPONII

Japonia, druga, przemysłowa potęga świata, kryje wiele niespodzianek dla świata pracy. Pierwszą jest fakt, że są dwie kategorie pracowników: "stali" i "tymczasowi".

"Stali" mają stałą pracę w wielkich zakładach, jak Mitsubishi. "Tymczasowi" pracują w zakładach należących do wielonarodowych firm, pobierają wypłaty o połowę niższe niż "stali" i nie mają prawa do emerytury. Japonki nie mają możliwości przynależenia do związków zawodowych, bo ich kontrakty są odnawiane co trzy miesiące. Na takich warunkach pracuje około 70% Japończyków.

W Japonii spotykamy też bezdomnych. Opisując jedno z osiedli Jokohamy, gdzie w budkach z dykty pokrytych szmatami gnieżdżą się bezdomni, "New York Times" twierdzi: "jest to dość często spotykany widok, choć ukrywa się go przed ciekawością obcych." Wśród tej biedoty najczęściej spotykamy starców, którzy nigdy nie doczekali emerytury, bezrobotnych, chorych umysłowo i ludzi należących do dyskryminowanych mniejszości, jak np. Burakominów, którzy stanowią odrębną kastę.

Oczywiście, jest też spora ilość bogatych Japończyków. A nawet bardzo bogatych. Starzy nędzarze zapracowali na ich dobrobyt .

TYLKO TEJ CHOLERY BYŁO BRAK

Tę średniowieczną epidemię ktoś dowcipny porównywał do klasowej bomby neutronowej - zabija tylko biednych.

Od przeszło 100 lat choroba ta nieznana była w krajach Ameryki łacińskiej. Dziś rozpowszechniła się w Peru, Ekwadorze i Kolumbii. Są już pierwsze wypadki cholery w Brazylii, w Argentynie, a nawet na południu USA. W Peru choroba zaatakowała 100 000 osób. Ofiary śmiertelne liczy się na setki. Chorują przeważnie ludzie osłabieni niedożywieniem, żyjący w warunkach braku zachowania elementarnych zasad higieny. Czynnikiem zakaźnym jest zanieczyszczona woda. W Argentynie (która nie jest najbiedniejszym krajem), jedna trzecia mieszkańców żyje w warunkach braku dopływu wody pitnej i kanalizacji. Ludzie załatwiają się do dziur wykopanych w ziemi, obok miejsc zamieszkania. Gdy dziura się zapełni, wykopuje się następną, parę metrów dalej. W takich warunkach, jedna trzecia społeczeństwa jest narażona na zakażenie. Ot, obrazek z raju, do którego nas prowadzą...

Wydano staraniem LIT /CI/ i
Grupy Samorządności
Robotniczej

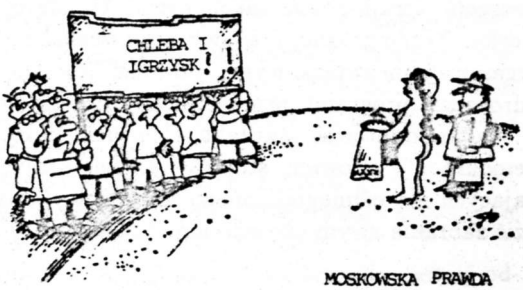

Kontakt:

ALTERNATYWA

00-521 Warszawa, ul. Hoża 29/31 m. 21
tel. 21-47-60 i 21-47-74